

Początek powieści



ELIZA ORZESZKOWA

Początek powieści

Życie człowieka, — to treść do powieści.

W niem są epizody dramatu i komedyi, — źródła łez i wybuchu śmiechu. W niem są szczególnie chwile pewne, z których wysnuwają się nici dalszego istnienia. Chwile te stanowczo oddziałują na przyszłość całą, i potem, kędy się zwrócisz: wokoło siebie, w głębi serca, na tle myśli, — wszędzie dojrzysz ich ślady.

Zejsście się mężczyzny z kobietą bywało dotąd ową chwilą, dostarczającą zwykłej do powieści osnowy. Poprzez różne zapory i trudy, z tysiącem walk i boleści, powieściopisarz przyprowadzał młodą parę do ołtarza, a niekiedy jedno z dwojga bohaterów składał w mogile.

Dziś powieści, osnute jedynie na owych tragicznych wędrówkach par ku obrączkom ślubnym, spowszedniały, a nawet mało mogą przedstawiać prawdy. Dziś niema już okrutnych ojców, zniewalających córki do zaślubiania bogaczy; klasztory o żelaznych bramach nie zamykają się za ofiarami rodzicielskiego despotyzmu; dziś bohaterki silniejsze jakoś mają piersi i nie tak łatwo, jak dawniej, umierają z suchot, a bohaterowie nie drżą przed rozkazami ojców i sami dla siebie wybierają towarzyszy życia. Duch kastowy, nierówność stanów, coraz téż mniej przedstawiają tła dla tragiki romantycznej; bo byle nastrój umysłów i serc dwojga ludzi był równym, mało kto już wgląda w heraldyczne szpargały, aby niemi rozłączać zakochaną parę. Zdarzają się zapewne wyjątki. I teraz jeszcze na drodze tych, którzy chcą żyć razem, stają niekiedy przeszkody, wynikające z nadzwyczajnych okoliczności i niewykorzenionych całkiem przesądów. Ale są to już tylko wyjątki, a życie istotne, ogólne, któremu podlegają wszyscy, i w którym w obecnym stanie społeczności najwięcej dramatu i nauki znaleźć można, to nie krótka wędrówka od spotkania się do ołtarza, ale owa długa wędrówka od ołtarza do mogiły.

Więc dzisiaj opis zejścia się mężczyzny z kobietą, to jeszcze nie powieść, to tylko *początek powieści*.

Jak w starożytnych tragediach, przed rozpoczęciem się właściwej scenicznej akcji, chóry zapowiadały w prologu zebranym widzom, jakiego osnucia sztuki spodziewać się mają; tak przed rozpoczęciem się dramatu życia dwojga ludzi, powieściopisarz, chcący przedstawić życie istotne, opowiedzieć musi prolog ich — spotkanie się, poznanie i powody, które ich połączyły. Namiejętności, interesa, szal, niedoświadczenie, podłość, zbytek szlachetności nawet, najdziwniej niekiedy ludzi prowadzą. Z początku wszystko pięknie; z zasłoną na oczach idą ku ołtarzowi niedoświadczenie i szlachetność, a interes i podłość cieszą się ze zdobyczy. Potem... potem rozpoczyna się życie właśnie najciekawsze i najwięcej nauczające, właściwa treść powieści i dramatu.

Wszakże i początkiem pogardzać nie można. To źródło; warto i jemu się przypatrzeć, aby lepiej mózdz pojąć późniejsze i zaradzić złemu. Jakim sposobem naprzykład zejść się mogą mężczyzna-człowiek z kobietą-lalką, albo kobieta-człowiek z mężczyzną-robakiem? Dlaczego otaczający podają pomoc tym potwornym związkom? Jak i dlaczego robaki i lalki przywdziewają maski ludzkie, aby zwieść i usidlić ludzi?

Trzeba to widzieć koniecznie, aby mózdz pojąć potem dramat przyszłego życia.

Trzeba widzieć, jak się schodzą ludzie, aby wiedzieć, dlaczego później tak, a nie inaczej, idą ze sobą.

Więc chociaż dla tego, kto piórem chce malować dramata tegoczesnych istnień, głównym wzorem powinno być życie par po odejściu ich od ołtarza, toć przecie kreślenie dróg, które ludzkie do niego idą, pozostanie koniecznym *początkiem powieści*.

I. CZŁOWIEK I LALKA

W jednej z najpiękniejszych okolic nadbużnych stał przed kilkunastu laty duży, dwupiętrowy dom, ogólnie przez sąsiadów pałacem nazywany. Zgrabne balkony, wsparte na lekkiej kolumnadzie, wznosiły się nad dziedzińcem, otoczonym pięknymi gospodarskimi budowlami. Od ganku do murowanej bramy, zamykającej sztachety, w przeciwną stronę biegła, zginały się dwie, osadzone kwiatami i usiane żółtym żwirem, drogi, jakby ramionami obejmując wielkie koło świeżej i równej murawy. Za bramą szeroka biała droga biegła coraz wyżej, pnać się na górę, — a daleko, na krańcu widnokregu, jak okiem zajrzeć, ciągnęły się prześliczne wzgórza, to pokryte lasami, to usiane zbożem. Z za lasów i zwgórków gdzie-nie-gdzie wychylały się wioski, rysując na tle krajobrazu grupy szarych chat i wysokich krzyżów. Z drugiej strony domu w tysiące wzorów łamały się klomby z kwiatami, a między nimi ścieżki wiodły ku wstędze wązkiej i bystrzej rzeczki, biegnącej w węzowych kręgach między zielenią krzewów i traw. Dalej stare lipy i smutne jodły tworzyły cieniste ogrodowe aleje, a wśród nich otwierały się szerokie, jasne przestrzenie, oblane słońcem, usiane murawą i kwiatami.

Miejsce to, nazywające się Próznowo, wraz z kilku wsiami i obszernymi łanami pól, należało do pana Swatowskiego.

Pan Andrzej Swatowski miał w owiej porze lat przeszło 50, majątek wynoszący blisko milion, córkę jedynaczkę i opinią *porządnego człowieka*. W dwudziestym roku życia, skończywszy siedm klas szkół gimnazjalnych, zaczął gospodarować w majątku ojcowskim. Po śmierci rodziców ożenił się i pojechał parę razy za granicę. Wróciwszy z ostatniej podróży, postawił dom, zwany w okolicy pałacem, sprowadził piękne meble, powozy i dwie guwernantki cudzoziemki dla swojej jedynaczki. A że gospodarstwo szło mu dobrze, że nie grał w karty, nie pił i wyraźnie nikogo nie krzywdził, z żoną żył bardzo przykładowie i córkę bardzo starannie wychowywał, za te wszystkie cnoty swoje jakże nie miał otrzymać nazwy *porządnego człowieka*?

W roku 1857, w połowie Czerwca, pola zieleniły się, kwiaty żywymi jaśniały barwami, słońce oświecało ziemię ciepło, radośnie.

W ładnym salonie próznowskiego domu, wielki brązowy zegar oznajmił trzecią godzinę po południu. Pan Swatowski, w-pół leżąc na fotelu, oddawał się codziennemu poobiedniemu spoczynkowi. Na okrągłym i rumianym jego licu rozlewał się spokój zupełny; wąsy sumiaste, nieco siwe, pokrywały usta, złożone jakby do smakowania potrawy. Głowę miał wspartą na poduszkach fotelu, a ręce splecione spoczywały na zaokrągleniu figury, która przez regularny sen i posiłek przybrała dość znaczne rozmiary.

W rogu salonu, na małej kanapce, z francuzkim romansem w ręku, siedziała kobieta około lat czterdziestu. Pani Leokadya Swatowska piękną była-by jeszcze, gdy-by nie wyraz pychy i chłodu, zalewający twarz jej i mówiący przez wpół zmrużone oczy. Córka dawniej, arystokratycznej a zrujnowanej rodziny, z wychowaniem skrzywionym, przyzwyczajona do zbytków i błyskotek, wyszła za męża nie z popędu serca, ale dlatego, że pan Swatowski miał znaczny majątek. Pan Andrzej zaś ożenił się z nią dla stosunków, a że oboje nie mieli skłonności do marzeń i pragnieniem nie wybiegali po za rzeczywistość, dobrze było pani Swatowskiej z majątkiem pana Swatowskiego, i panu Swatowskiemu ze stosunkami pani Swatowskiej. Oboje cenili wysoko to, co nabyli. Pan Andrzej często mówił o arystokratycznych stosunkach swoich, brzmiałymi imionami imponując słuchającym sąsiadom; pani Leokadya ubierała się bogato, z głębi miękkich foteli rozkazywała licznym sługom, jeździła często za granicę, i wróciwszy, o niej tylko mówiła.

Między śpiącym ojcem i czytającą romans francuzki matką, w białej, lekkiej sukience, z wachlarzem w drobnej rączce, przechadzała się panna Zofia Swatowska. Piękne było bardzo to ośmnasto-letnie dziewczę. Wysmukła i kształtna, lice miała przezroczyściej białości. Włosy bardzo jasne wznosiły się wysoko, jakby aureolą promieni, a dziwną sprzecznością, czarne brwi i czarne długie rzęsy otaczały duże, szafirowe oczy, to pałające tysiącem ognia, to wabne, łżą jakby zamglone. Usta małe, karminowe, jakby gałązka koralu, rozkwitały wśród białej twarzyczki; głos miała dźwięczny, srebrny, mowę dziwnie miękką, pieszczoną. Wychowana przez matkę dumną, próżną i pamiętającą o swoim wysokim pochodzeniu, od dzieciństwa uczyła się próżności i dumy. Bony i guwernantki od kolébki mówiły jej o piękności, bogactwie i blasku, jako o jedynych dobrach ziemi. Uczono ją

czterech obcych języków, muzyki, rysunku, tańców; uczono, jak się ma znaleźć w każdym towarzystwie, jak ma siedzieć, chodzić, stawać i mówić, aby jej ruchy i słowa miały jak najwięcej arystokratycznej dystynkcji.

Mając lat siedemnaście, skończyła wychowanie. Mówiła obcemi językami, grała na fortepianie, śpiewała dźwięcznie i słodko; wiedziała, jak w towarzystwie odróżnić ludzi według sfer, kiedy i komu uchodzi, albo nie, podać rękę, uśmiechnąć się, przemówić uprzejmie. O dziejach, naturze, o poważnych prawdach życia, najłżejszego nie miała wyobrażenia; rodzinnym językiem z trudnością wypowiadała myśli; o gorących a zacnych uczuciach nie zaszłazała nawet. Słowem, córka porządnego człowieka i arystokratki z rodu, była piękna... piękna kobieta-lalka.

Kiedy po raz pierwszy włożyła sukienkę dorosłej panny, i M-me Lacour, ostatnia z guwernantek, opuściła Próżnowo, Zofia pobiegła do swojego pokoju, stanęła przed dużym lustrem i długo patrzyła na swoją postać, wdzięcznie uśmiechniętą w zwierciadlanej szybie. Powiodła dłonią po aureoli jasnych włosów, poprawiła osuwające się na ramiona warkocz, uśmiechnęła się, podniosła główkę i zawołała:

— Śliczna jestem!

Potem zaśmiała się przeciągłym, srebrnym śmiechem, i nuta walca wpół skoczna, wpół tęskna w tysiącnych spadach wypłynęła z różanych ustek. Za chwilę lekka, wesoła, zbiegała z szerokich schodów; biała sukienka owijała ją jak obłoczkiem, a myśl walcowym wirem krążyła około jednych wyrazów: w świat! w świat bogactwa! w świat blasku i wielkości!

Pan Andrzej usypiał w fotelu snem błogosławionych, pani Leokadya zamknęła książkę i z roztargnieniem patrzyła przed siebie, Zofia zaś przechodziła od okna do okna, uderzała się wachlarzem po rękę, śliczne usta złożyła z wyrazem niezadowolenia, a na białym czole zarysowała się lekka zmarszczka.

— Mamo, — rzekła po chwili, zbliżając się do matki, — nudzę się!

Pani Swatowska podniosła głowę, spojrzała na córkę i odrzekła:

— *Ma chère*, każ konie założyć i jedź na spacer.

— Nie chcę jechać na spacer, mamo, — z niecierpliwością zawołała Zosia.

— Więc graj albo czytaj, — mówiła znów matka

— *Oh, j'en ai assez* muzyki i czytania! Chcę ludzi, towarzystwa, świata... nudzę się!

— Przyjedzie dzisiaj pan Warzecki, to cię rozerwie. *Je crois, qu'il vous fait sa cour*. Jeżeli się o ciebie oświadczy, wyjdiesz za niego, a będzie ci daleko weselej. On jest bogaty i ma dobre w świecie stosunki. *C'est un mariage tout à fait sortable pour vous*.

Gdy pani Swatowska wymówiła te słowa, ocknął się pan Andrzej i przetarł oczy.

— O panu Warzeckim mowa, o ile się domyślam, — rzekł, poziwając.

— Tak, — odpowiedziała pani Leokadya; — Zosia nudzi się, my dla niej do miasta wyjechać nie możemy. *Il faut la marier*. Pan Warzecki, zdaje mi się, zupełnie odpowiada warunkom dobrej partii. Znam jego krewnych na Wołyniu, ma piękny majątek *et l'extérieur tout à fait distingué*.

— Chłopoman! — mruknął pan Andrzej.

— To prawda, — mówiła znowu pani Leokadya, — *que sa tournure d'esprit n'est pas taut à fait aristocratique*. Niema się jednak czém zastraszać. Pan Warzecki, choć chłopoman, gospodaruje dobrze, jak mówiła mi sąsiadka jego, marszałkowa Z. Cóż ty na to wszystko, Zosiu?

— *Je trouve, maman*, że pan Warzecki strasznie jest nudny ze swoją powagą. Bywa tu często; ani razu żadnej miłej nie powiedział mi grzeczności. Kiedym mówiła mu, że nudzę się na wsi, on, zamiast przyznawać, jak inni panowie, że stworzona do wielkiego świata i uwielbień, a nie do ciszy wiejskiej, zaczął prawić o książkach, pracy, o szczęściu i zadowoleniu w jakimś uczuciu, jak mówił, serdecznym i gorącym. Myślałam, że usnę!... *Mais enfin, quoique il m'assomme avec sa morale*, gdybym była pewną, że po ślubie powiezie mię za granicę, a potem, że będziemy mieszkali w Warszawie, *je serais prête à l'épouser*.

— Bądź pewna, że tak będzie, — zawołała pani Swatowska. — *Un homme de race, comment donc! C'est toujours si galant!* robi, co zechcesz...

— Za prędko, za prędko, moje panie, — przerwał pan Andrzej. — Warzecki nie oświadczył się jeszcze o Zosię, a jeżeli się i oświadczy, trudno wprawdzie odrzucać taką partya, przecież wolał-bym kogo innego na zięcia.

W téj chwili na szerokiej drodze zbiegała z góry czwórka siwych koni, zaprzężonych do wołyńskiego wózka.

— Otóż i jedzie! — zawołała pani Leokadya.

— Ale nie pan Warzecki, — rzekła Zofia, patrząc w okno.

Pan Andrzej wstał i zaczął się téż przypatrywać. Czwórka szybko zbiegła z góry, i po chwili była już na dziedzińcu.

— To Michał Starski! — zawołał pan Andrzej, wytaczając się z salonu na spotkanie gościa.

— Michał! — powtórzyła pani Swatowska.

— Kuzynek Michaś! — zawołała Zofia.

Drzwi się otworzyły, i wszedł mężczyzna średniego wzrostu, szerokich ramion, z włosami jasnymi, wpadającymi w rudawy kolor, z okrągłemi, blado błękitnymi oczyma.

— Jak się ma ciocia? — rubasznie zawołał u drzwi i, zbliżywszy się, głośno ucałował rękę pani Swatowskiej.

— Dzień dobry, kuzyneczko! — rzekł, zwracając się do Zofii. — Od roku nie widziałem kuzynki. Jakże wyładniała! Już, dalibóg, śliczna panna!

Zofia zimno podała rękę panu Michałowi, który złożył i na niéj głośny całus.

— Pewno bez obiadu? kiedyż z domu? jak się mają znajomi? — pytał pan Andrzej.

Gość usiadł, prosił o obiad i zaczęła się rozmowa.

Pan Michał Starski był krewnym pani Swatowskiej. Silny, barczysty, z białém, szerokiém czołem i okrągłemi, rumianemi policzkami, był, w pospolitém znaczeniu tego wyrazu, przystojnym mężczyzną; ale umysłowe kształcenie się swe skończył, niestety! na pięciu powiatowych klasach, i młodość przepędził wśród polowań, jarmarków i odwiedzin sąsiadów lub krewnych. Po śmierci rodziców odziedziczył niewielki i zadłużony majątek ziemski. Mimo zaniedbanego wychowania i małego funduszu, piękne imię i liczne stosunki dały mu pewną pozycyą w świecie, i ogólnie utrzymywano, że, aby został całkiem porządnym człowiekiem, brakło mu tylko w układzie pewnych cech arystokratycznych, startych z niego wśród jarmarków i hulank z przyjaciółmi różnych sfer.

Niezbyt go téż lubiła za ten brak arystokratycznej dystynkcyi pani Swatowska; ale pan Andrzej imponował sąsiadom pokrewieństwem ze Starskimi, lubił więc i pana Michała, który to imię nosił. Wiedząc o bardzo krytycznym stanie jego majątku, postanowił wydzwignąć Starskiego ze złych interesów, i za najstosowniejszy ku temu środek uznał wezwanie w pomoc bożka hymenu.

— Jakież tam u was urodzaje? — zapytał pan Andrzej.

— Złe; pszenica wymarza, jarzyny poschły.

— A w Jałówce?

— Gorzej niż wszędzie.

— To źle z tobą, panie Michale.

— Oj źle, źle panie Andrzeju. Kredytorowie na karku siedzą, niech ich dyabli wezmą! Trzeba będzie wziąć bizun za pas i pójść na ekonomia.

Pani Swatowska powąchała flakonik z perfumami.

— *Fi donc!* co téż to mówisz, kuzynku! — wyrzekła pogardliwie.

— Na ekonomia! *fi donc!* — powtórzyła Zosia.

— A i cóż uczynię, proszę cioci, jak mi Jałówkę zabiorą? A nastąpi to niezawodnie, bo długu bankowego mam zaległe dwie raty, prócz prywatnych opłat, których i nie zliczę. Sprzedadzą majątek z publicznego targu.

— Poczekaj, może się znajdzie na to rada, — odezwał się na to pan Andrzej. — Czy otrzymałeś mój list?

— Otrzymałem, i właśnie na wezwanie przybywam.

— Jeżeli tak, to wiesz, że możesz tu doskonale się ożenić. Toby wszystko uratowało. Panna młodziutka, kaprysić nie będzie, a rodzice z chęcią wydadzą ją za ciebie, bo to parwienusze, Żytowscy, a ty przecież Starski. Posag zaś co się zowie!...

— Lolę Żytowską swatasz Michałowi? — rzekła pani Leokadya. — To dobra partya.

— A ile ma posagu? — spytał pan Michał.

— Dadzą jój zaraz 80 chat, śliczny majątek! Oprócz tego Żytowscy mają niezły folwark, w którym mieszkają, i podobno kapitały.

— Mniejsza o kapitały. Ośmdziesiąt chat, nie bagatelka! Ale czy tylko panna za mnie wyjdzie?

— Już ja w tém... pomówimy.

Drzwi się otworzyły, lokaj zaprosił do stołu. Przy obiedzie pan Michał jadł za czterech; perspektywa wyjścia z kłopotów dodawała mu apetytu.

— Wyborny u ciebie kucharz, panie Andrzeju, — mówił, zjadając. — Ale, ale, przywiozłem ci dwie sarny. Kiedym otrzymał twój list, wychodziłem na polowanie. Myślę sobie: jeżeli co zabiję, panna moja, jeżeli nie, dostanę harbuza. Ledwie wszedł do lasu, słucham, Doscocz goni! Wypuściłem Lutnię i stanąłem na przesmyku; aż i sarna skacze. Strzeliłem! ani tchnęła! Myślę sobie: dobrze!... Jeszcze się nie ruszył z miejsca, aż i druga! Fuzya do oka... paf w nią... i wyciągnęła cztery łapy! Kazalem wziąć obie i przywiozłem tutaj. Dobra wróżba, panie Andrzeju, nie prawdaż?

Obadwaj *porządni ludzie* mieli błonki oczne skłonne do wypuszczenia łez; gdy więc pan Michał, uniesiony wdzięcznością, rzucił się w objęcia pana Andrzeja, obaj wydobyli z kieszeni chustki do nosa, i obiad skończył się rozczuleniem publiczności, jak wielkopostne kazanie księdza proboszcza. Panie nie były obecne przy tej rzewnej scenie, a z salonu dochodził srebrny głos Zofii, śpiewającej pieśń o Kalinie.

Po obiedzie pan Andrzej i pan Michał naradzali się o jutrzejszej wyprawie do państwa Żytowskich, pani Leokadya czytała romans, leżąc na kanapie, a Zofia poziewała, bawiąc się wachlarzem i chodząc po pokoju, gdy na drodze, z góry, ukazała się znowu czwórka koni, ale czarnych, i zaprzężonych do ładnego koczka.

— Pan Warzecki jedzie, — zawołała Zofia, patrząc w okno.

Pani Swatowska wyprostowała się na kanapce, pan Andrzej wybiegł na ganek. Koczyk zjechał przed dom, i po chwili wszedł do salonu mężczyzna, około lat trzydziestu, kształtnej postaci i poważnych ruchów. Czarne włosy trochę niedbale spadały mu na wysokie i nieco opalone czoło; czarne, ogniste oczy patrzyły z wyrazem zamyślenia i pewnej dumy, a nawet surowości. Ten-to wyraz dumny a surowy był jedynym zarzutem męskiej i pięknej twarzy wchodzącego, ale przy uśmiechu, rzadkim wprawdzie, znikał zupełnie, i serdeczna dobroć zalewała lica młodego człowieka.

Pan Waław Warzecki, właściciel znacznego majątku, wychował się w stolicy. Kilka lat młodości przepędził na uniwersyteckich pracach; z pojęciem i zamiłowaniem badał naturę, dzieje ogólne i wszelkie nauki, rzucające światło na cudowną budowę ludzkości i świata. Po ukończeniu uniwersytetu, długo podróżował; znał stolice Zachodu i Południa, wiele widział i czytał, więcéj jeszcze myślał i rozważał. Ztąd na twarzy jego rozlał się wyraz surowości i powagi; śmiał się rzadko, mówił poważnie i treściwie. Trudny do zawierania związków przyjaźni, badawczo zaglądał w serca ludzkie. Nazywano go za to dumnym i zimnym; ale on mało zwracał uwagi na pochwały i nagany, a jeżeli komu raz podał dłoń przyjaźni i szacunku, dla tego już zawsze serce miał otwarte z radą i pociechą, i ramię, gotowe do pomocy. Kwestye społeczne zajmowały go żywo, wzbudzając w nim wiele głębokich rozmyślań, i właśnie to zamiłowanie kwestyi społecznych miał mu za złe pan Andrzej; więcéj i teraz ceremonialnie raczéj niż uprzejmie wprowadził go do salonu.

Waław uklonem powitał panie, a po wzajemném przedstawieniu, zimno podał rękę Michałowi. Zofia usiadła przy matce i ogólna rozpoczęła się rozmowa.

Ubranie, ruchy i sposób mówienia Waława, obok smaku i powagi, nacechowane były znajomością najoświecześniejszych towarzystw, co nieskończenie podobało się pani Leokadyi. Zosia, chociaż znudzona powagą gościa, z przyjemnością jednak na jego piękną twarz spoglądała. Pan Andrzej tylko, jak ciężar, niósł w sercu chłopomanią młodego człowieka; pan Michał zaś, onieśmielony grzecznym ale zimnym układem i pełną myśli rozmową przybyłego, usunął się ku oknu, a blademi oczyma patrząc na płynące chmury, myślał o pannie Żytowskiej, która ukazywała się jego wyobraźni, otoczona uroczym wieńcem swoich ośmdziesięciu chat.

Po herbacie Zofia usiadła do fortepianu i poważne melode Mendelssohna popłynęły z pod jój ręki. Pani Swatowska wysła z salonu, pan Andrzej z panem Michałem rozmawiali w przyległym pokoju, Waław zaś stał naprzeciw Zofii, z założonemi na piersi rękoma, wsłuchany w muzykę, zamyślony. Przez otwarte okno płynęły do salonu potoki

woni różanej, łącząc się w powietrzu z tonami cichęj, miękkiej muzyki; po niebie przesuwały się obłoczki złote; zachodzące słońce purpurą rysowało krańce widnokregu. Zofia, w białej sukience, z szafirowym kwiatem nad skronią, z rumieńcem, wywołanym muzyką i rozmową, bardzo była piękna. Wacław zwiedził wiele krajów, zachwycił go czarnookie Włoszki i zgrabne Paryżanki, ale zawsze tęsknił za czemś innym, marzył o jasnowłosém, młodém i czystém dziewczęciu, z przezroczystém licem i szafirowém okiem, które-by jego mówiło językiem, pojęło go i kochało nieskażoną duszą.

W obcych stolicach i w gorących południa krajach, wśród atmosfery miłości i blasku, płonąca wyobraźnią marzył Wacław o lekkiej, białej, jasnowłosej dziewczynie, i myślał, że znajdzie ją tylko pośród swoich. Wrócił do kraju i poznał Zofię; zachwycił go piękne formy dziewczęcia; zdało się mu, że wyczytał w jej oczach skarby miłości i rozkoszy, że w głosie dosłyszał harmonią uczucia i słodyczy. Dojrzał on wprawdzie fałszywy kierunek, jaki nadano jej sercu i myślom, ale témbardziej żałował pięknego kwiatu, nieumiejętną pielęgowanego ręką; zapragnął wyrwać Zofię ze sfery próżności i głupoty, ogrzać jej serce siłą własnego uczucia, podnieść ją, uszlachetnić, ukochać i postawić na piedestale ideału kobiety.

Pieścił Wacław to marzenie swoje, i dla niego porzucił z wiosną postępową gospodarkę, którą się był niedawno zajął, prace swoje i swój piękny pałacyk, a przyjechał do domu siostry, aby ztamtąd często widywać Zofię.

Zalotna i piękna dziewczyna przykuwała go co raz mocniej do siebie. Przy nim biegłej mówiła po polsku, wkładała w oczy wyraz tęsknego zamarzenia, który wabił tysiącem obietnic, w mowę wlewała miękkie i słodkie tony. Wiedząc, że Wacław lubi muzykę cichą i poważną, grywała mu śpiewy Mendelssohna, Szopena, śpiewała smutne piosenki Szuberta. Wacław coraz bardziej rozkochany, wpatrywał się w głąb jej oczu, wsłuchiwał się w głos, i odjeżdżał zawsze upojony, pieszcząc wspomnienie chwili, w której dotknął białych palców dziewczyny, podając jej kwiat zerwany, albo téj, w której spotkały się ich spojrzienia, i zdało się jemu, że w oczach Zofii były obietnice miłości i szczęścia.

— O, gdyby ona mnie kochała! — myślał zawsze Wacław, opuszczając Próżnow. — O, gdy-by tylko mnie kochała! nauczył-bym ją myśleć i kochać to, co sam miłuję. Uniósł-bym ją z atmosfery głupoty i próżności, podniósł ku sobie i ku światłu. Gorącym tchnieniem moich pocałunków wlał-bym w jej piersi wszystkie miłości moje i wiary; byłbym jej kochankiem i nauczycielem, jej mistrzem i jej stróżem. Ale czy ona mnie kocha?!...

Uczucie paliło mu piersi, nadzieje pieszczące, to znowu gorzkie obawy, rozrywały głowę. Raz tworzył sobie obrazy pełne niewysłowionego wdzięku, jak wśród ciszy swego pięknego domu będzie uczył Zofię prawd życia, których dotąd nie znała, jak będzie jej tłumaczył cuda natury i opowiadał dzieje ludzkości, jak gorącą pieszczotą rozgrzewać będzie jej serce młode, ale chłodem owiane. Marzył, że Zofia, wkrótce podniesiona, stanie obok niego, jako rozumna i silna towarzyszką, i będzie dzieliła jego prace, myśli i dążenia; że ręka w rękę pójdzie z nią poprzez bóle i radości ziemskie, osłaniając ją męzkim ramieniem i wzajemnie z ust jej pijąc rozkosz życia, ze słów słodkich czerpiąc zachętę i pociechę.

To znowu gorzka obawa obręczą bólu ścisłała mu serce. A może Zofia go nie kocha? Może nie poda mu ręki na wspólną wędrówkę? Może od moralnej nędzy rodziców przejdzie do człowieka im podobnego; wtedy na zawsze upadnie, a on pojedzie do pustego domu, z tęsknotą i gorzkim żalem.

Silna, bogata była natura Wacława. Zdolny czuć potężnie, gwałtownie nawet, umiał jednak wśród uczucia zawładnąć sobą. Dotąd myślał on zawsze, że miłość dla kobiety nie powinna pochłaniać całkiem istnienia poważnie myślącego człowieka. Stawiał on kobietę bardzo wysoko, jako dozoną towarzyszkę mężczyzny, równą mu prawem i rozumem, dzielącą z nim całą treść życia; ale myślał, że miłość dla niej nie powinna, nie może być jedyném uczuciem życia, jedynym celem wszystkich pragnień i walk. To téż, gdy po kilkumiesięczném bywaniu w Próżnowie zajrzał w głąb siebie i przebiegł ów czas, upłyniony w miłosném rozmarzeniu, uznał, że pora już była skończyć sprawę swojego serca i wrócić do prac rozpoczętych. A choć wewnętrznie pragnął oddalić stanowczą chwilę, zdrowa myśl przemogła i przyjechał tym razem do domu państwa Swatowskich, aby stanowczo

oświadczyć się o rękę Zofii i, bądź co bądź, z nią czy bez niej, wrócić do życia godniejszego mężczyzny.

Zofia grała długo, Wacław zadumany wpatrywał się w jej twarz. Słońce zaszło, zmrok zaczął zapadać; zaczynała się pora, tak trafnie u nas nazwana szarą godziną. Pani Swatowska nie wróciła jeszcze do salonu, pan Andrzej z panem Michałem rozmawiali półgłosem w przyległym pokoju. Rozmowa między dwoma *porzadnymi ludźmi* toczyła się o domu państwa Zytowskich, o młodej Loli i jej 80 chatach. Ostatni przedmiot był niewyczerpany. Pan Andrzej opowiadał panu Michałowi o gruntach poleskich, o doskonałości tamiecznych lasów, — dodając często:

— Znam ja, znam Polesie; bywam tam u hrabiny O. i u marszałka Z.

Tymczasem Zofia przestała grać i jedną tylko ręką wydobywała z klawiszy oderwane tony. Wacław usiadł przy niej.

— Przyjechałem tu dzisiaj, — rzekł, — aby powiedzieć pani ważne słowo i zadać bardzo też ważne pytanie.

Zofia podniosła głowę, śliczny uśmiech otworzył na-pół jej usta i ukazał białe ząbki. Spojrzała na Wacława pytającym wzrokiem i odrzekła:

— Słucham pana.

Lekko zsunęły się brwi młodego człowieka. Jakby walcząc z wewnętrznym bólem, potarł ręką czoło; — ale po chwili wyraz nieopisanej słodyczy i miłości zalał mu twarz, — schylił się do Zofii i, głęboko patrząc w jej oczy, rzekł:

— Kocham panią i pytam, czy chcesz być moją żoną?

Zofia pochyliła głowę. Przez chwilę trwało milczenie.

Zmrok zapadał coraz ciemniejszy, przez otwarte okna płynęły wonne tchnienia kwiatów i przeciągłe echa dalekiej, żalostnej pieśni ludowej.

Po chwili Zofia podniosła głowę, uderzyła nóżką o posadzkę, a szybko powstawszy, podała obie ręce Wacławowi i rzekła:

— Oto moja odpowiedź! Niech pan o naszej rozmowie powie moim rodzicom.

Wysunęła ręce z dłoni Wacława i szybko, lekko, jak biały śród zmroku obłoczek, wybiegła z salonu.

Młody człowiek, upojony, szczęśliwy, zbliżył się ku otwartemu oknu. Ciepły, wonny wiatr owiał mu twarz gorącą; wpatrzył się w błękitne niebo, na którym gdzieś mrugały gwiazdy nocne, i pełną piersią pił powiew letniego wieczora. W myśli jego przesuwały się obrazy przyszłości, pełnej szczęścia i spokoju, przyszłości z myślą, pracą i miłością. Życie witało go radośnie, jak różany promień wschodzącego słońca wita pragnącą światła ziemię. Rozumny, kochany, bogaty, wszak wszystkie uroki życia miał osiąść.

W tém — z dala, z powiewem cichego wiatru, przyplęły smutne nuty ludowego śpiewu. Przykrém wrażeniem pieśń ta owiała Wacława; pochylił czoło, zadumał się. Dlaczego w chwili, gdy widział przed sobą otwarte życie nadziei i szczęścia, tęskne echo tchnęło nań smutkiem? Czemu pieśń żalostna przyplęła do jego ucha wtedy właśnie, gdy mu życie najżywiej zaśpiewało hymn wesela?

Wniesiono światło, wrócili do salonu państwo Swatowscy, a po chwili z zarumienioném licem weszła Zofia.

Czy uderzyło serce w jej 18-letniej piersi? Czy, gdy podawała ręce Wacławowi, uścisk jego gorącej dłoni obudził w niej struny życia? Gdyby Wacław patrzył w głąb jej istoty, jęknął-by z rozpacz i ściskając swoje mężkie serce, aby nie pękło od żalu, porzucił-by kobietę-lalkę. Zofia była wychowaną w Próżnowie, i kiedy Wacław obejmował ją wzrokiem gorącym, ściagał płonącymi oczyma, w jej myśli roily się obrazy przyszłej swobody, niedalekich zabaw, i blasku, i gwaru, i tłumów, bijących przed nią czołem. Wpatrywała się w te rojenia swoje, a twarz jej się rozpromieniała i rozmarzało oko, i piękną była, jak nigdy. Tak była piękną, że nawet kuzynek Michaś, stojąc z daleka i pokręcając rudawe wąsy, pomrukiwał:

— Dalibóg, ładna kuzynka! Niech ją dyabli, co za oczy!...

Około północy koczyk pana Warzeckiego biegł znowu po szerokiej drodze, pod górę. Wacław odjeżdżał po oświadczeniach, przyjęty, szczęśliwy.

W salonie Próżnowa, pani Swatowska mówiła do męża:

— *Mon cher*, trzeba myśleć o wyprawie dla Zosi. Za tydzień pojedziemy do Warszawy.

II. DZIECIĘ I ŁAPIPOSAG

O dwie mile od Próznowa, między pięknymi sosnowymi lasami, stał dwór państwa Żytowskich. Dom jedno-piętrowy, drewniany, gankiem na czterech słupach opartym patrzył na zielony dziedziniec i wybiegającą z niego, wijącą się wśród lasów, drogę. W koło dziedzińca, drewniane, szare zabudowania, wyglądały z poza krzewów rosnących gęstymi klombami, z za włoskich topoli, wysoko strzelających ku niebu. Ogród nie wielki, przetrnięty kilku cienistymi alejami, dotykał także lasu, w którym, na ciemnym tle jodeł i sosen, jak dziewice w białych sukienkach, stały białą korą ubrane brzozy. Poza lasami dopiero odkrywały się pola żyzne, pszeniczne, sławne obfitością urodzajów. Mnóstwo dróg i drózek, najeżonych korzeniami drzew i wijących się między kolumnadą gładkich, grubych i wyniosłych sosen, wyprowadzało z lasu na równinę otwartą, szeroką, jak okiem zajrzeć, usianą zbożem, albo pokrytą kwiecistą barwą łąk. Daleko na krańcu widnokrzęgu, szare wioski strzelały ku niebu wysokimi krzyżami, a wązki pas lasów i sine wzgórza rysowały na tle obłoków nierówne zęby.

Piękne są podobne zakątki, ciche, milczące, wonne zapachem łąk i owiane szumem lasów. Przejeżdżając przez Żytów, podróżny z miłym wrażeniem mógł wsłuchiwać się w tajemniczy szept sosen, ściągać okiem białe sukienki brzoź i oddychać wonnym lasów powietrzem. Zdawało się, iż echo nawet od świata walk i ludzi nie może dolecieć do tej wiejskiej ustroni, że w niej życie powinno płynąć cicho i słodko, między błękitem niebios i zielenią drzew.

Do zupełnej piękności natury w Żytowie brakło tylko rzeki, jeśli nie szerokiego koryta Niemna, to przynajmniej jednej z tych wązkich a bystrych rzeczek, które, wijąc się w węzowe zakręty, z szumem spadają ze wzgórz, albo, płynąc po równinach cichymi falami, zielone łąki opasują wstęgą błękitu, pożyczonego od nieba.

O tym braku jednak nie myślał właściciel litewskiej ustroni, był to bowiem człowiek całkiem nie poetycznych usposobień i marzeniami niesięgający ideału.

Traf, figlarz wielki, często ludziom dziwne wyrządza psoty. Wśród prześlicznych wzgórz i lasów, w okolicy pełnej uroku i poezji, osadza czasem człowieka z ołowianą myślą i kamiennym sercem, który nietylko nie uwielbi tych otaczających go piękności, ale ich nawet nie dojrzy. Ludzi zaś, z duszą pragnącą piękna, z myślą pojętną i żywą, ludzi, którzy tęsknią za ideałem, a w pięknym otoczeniu podnoszą się i doskonalą, rzuca na piaski i wydmy jałowe, na błota i płaskie, nudne równiny.

Ten-to właśnie traf figlarny osadził w pięknym Żytowie wysokiego i chudego, z długą, żółtą twarzą i małemi, czarnymi, złośliwymi oczkami, pana Jana Żytowskiego. Syn okolicznego szlachcica, p. Żytowski nauczył się u wiejskiego proboszcza czytać, pisać i rachować, później z ekonomy wyszedł na komisarza i ciemnymi drogami, których źródła i rozmaite kierunki kryją się przed ogółem, zebrał znaczne pieniądze. Handelek końmi, ciche zмовy i spółki z przemysłnymi Żydkami, czasem przechowanie kontrabandy, wzięcie porękawicznego za korzystną dla nabywcy, a niekorzystną dla dziedzica, sprzedaż albo dzierżawę, — oto były elementa składowe sum, za które pan ex-ekonom nabył Żytów. Dodać do tego trzeba wyrachowane, wytrwałe, niczym niedające się zrazić skąpstwo i mnóstwo środków i środeczków zbierania pieniędzy, które, jak podziemne płazy, kryją się w najgłębszą ciemność, unikając słonecznych promieni.

W kilka lat po nabyciu Żytowa, kupił pan Jan piękny i duży majątek Bławacin, od zrujnowanego pana, który go musiał sprzedać za bezcen. Pozostał jednak w Żytowie, a 80 chat poleskich wydzierżawił za 5,000 rs. rocznie.

Kiedy mu dzierżawca corok odwoził pieniądze, pan Żytowski, po przerachowaniu ich, wołał do żony:

— Duszko! śliczny będzie posażek dla Lolki! Złapiemy jęj jakie hrabiątko na męża, będzie wielką panią dziewczyna!...

Pani Żytowska, błada i powolna kobieta, z krzyżem na piersi i różańcem na ręce, odpowiadała zawsze na te wykrzykniki mężowskie:

— Będzie tak, jak Bóg zechce, mój Jasiu.

To: „jak Bóg zechce” i: „dla miłości Pana Boga,” było osnową, wołą i myślą całego życia pani Żytowskiej. Z ubożego szlacheckiego domu, młodą będąc i dość ładną, wyszła

pani Magdalena za komisarza Żytowskiego, bo jej rodzice powiedzieli, że taką snadź była wola Pana Boga.

Po ślubie kochała męża, choć ją często lajał i skąpstwem męczył, bo myślała, że nie kochać go, było-by to obrażać Pana Boga. A kiedy biedaczka poczuła żal do małżonka za niesprawiedliwe i przykre obejście się, albo, zmęczona życiem ciężkiej pracy i odmawiania sobie wszystkiego, pomyślała, że mogłaby szczęśliwszą być z p. Ignacym albo Antonim, którzy się ongi do niej adresowali, — to wnet, po rachunku sumienia, szła piechotą o mil kilkanaście do cudownego miejsca i na klęczkach po kilkadziesiąt razy obchodziła ołtarz, błagając Boga o przebaczenie ciężkich popełnionych grzechów. Po przeniesieniu się do Żytowa, z razu zakłopotana nieco była nowym położeniem, ale wkrótce oswoiła się z nim, przybrała układ naturalny i poważny, a blada, powolna, zimna, w białym czépeczku i ciemnej wełnianej sukni, niczém nie razila.

Kiedy jedyna córka państwa Żytowskich dorosła lat 10-ciu, pan Jan osądził, że trzeba wychować ją *po obywatelsku*; ale że koszt utrzymania nauczycielek uważał za zbyt znaczny, pozostał środek oddania jej na pensję.

Pani Żytowska o innym zakładzie, jak o klasztornym, i słuchać nie chciała, a to pragnienie matki zgadzało się i z wolą ojca Loli.

Pewnego więc dnia pani Żytowska wyjechała z córką do Warszawy, i za dni kilka wprowadziła ją na uczennicę do klasztoru panien Wizytek. Gdy powierzyła jedynaczkę opiece zakładu i pożegnała ją uśmiechem, raz jeszcze zwróciła się ku przełożonej i ze złożonymi błagalnie rękoma prosiła, aby wychowano jej dziecię przedewszystkiém pobożnie. Przełożona, kobiéta wysokiego wykształcenia, przyrzekła gorliwéj w wierze matce, że w serce jej córki wszczepioną będzie religia, ale że przytém i innych środków wykształcenia dziewczynki nie zaniedbają. Furta klasztoru zamknęła się za panią Żytowską, a zakonnica z bladą i łagodną twarzą, przytuliła do piersi płaczącą Lolę, pocałowała ją w czoło i przez długie kurytarze zawiodła do sali, w której poleciła nowoprzybyłą opiece nauczycielek i przyjaźni towarzyszek.

Sześć lat zbiegło Loli w klasztornych murach. Obdarzona żywém pojęciem i gorącą wyobraźnią, kształciła, stroiła umysł. A kiedy wesołe towarzyszki biegły od pracy do zabawy, lekkie i swawolne, trudno było nie odróżnić między niemi zadumanéj dziewczynki, choć wesołej, ale zawsze jakby marzącéj.

Do ciemnookiéj Loli często zbliżała się zakonnica, przełożona zakładu, brała ją za rękę i wiodła ze sobą przez kurytarz i ogrody, miękką dłonią pieszcząc lice dziewczynki, nauczając ją długo a słodko. Wysokie sklepienia długich, niknących w cieniu kurytarzy, odgłosy śpiewów pobożnych, posępném echem wśród ciszy nocnéj dochodzące do sypialni dziewczynek, blade lica i czarne zasłony zakonnice, słodkie a smętne rozmowy przełożonéj, rozbudzały gorącą z natury wyobraźnią Loli, poetyzowały ją i rozmarzały. Nauki zwracały wprawdzie jej umysł od marzeń ku myśleniu, ale świat rzeczywisty, świat ludzi i życia pozostawał dla niej zagadką tajemniczą i ciekawą, którą jej wyobraźnia stroiła w uroki i cuda zaczarowanych, bajecznych krain.

Kiedy po 6-ciu latach, pani Żytowska przywiozła córkę z Warszawy do Żytowa, podziwiano wiadomości i piękną mowę dziewczęcia i z zachwyceniem słuchano jej czystéj, cichéj a miękkiéj muzyki.

Drobnéj postaci, ciemnych, dużych oczu i bladego lica, Lola nie była piękną, ale uroczą jakoś i wdzięczną. Było to dziecię słodkie, uległe i marzące, z żywém pojęciem, z sercem gorącém, ale słabe, poddające się wpływom, potrzebujące wsparcia, nauki życia, kierunku.

Gdy przybyła do Żytowa, pan Jan z dumą słuchał jej płynnéj, czystéj mowy i harmonijnéj muzyki, a patrząc na drobną postać, blade lice i małą, zgrabną rękę córki, wołał do żony:

— Duszko! arystokratka dziewczyna, dalibóg arystokratka! Mówilem, że będzie z niéj wielka pani.

Pani Żytowska spoglądała na córkę i odpowiadała:

— Jak będzie wola Pana Boga. Wychowało się dziecko w klasztorze, powinno być pobożne.

Pobożną téż była Lola. Poważne śpiewy zakonnice, wspaniałe celebry biskupie i długie nauki kapłanów tchnęły w jej duszę gorącą wiarę. Żywa wyobraźnia ukazywała jej Bo-

ga, odzianego purpurą wszechmocy, oblanego światłem mądrości i łaski. Lubiła myśleć o jasnych i pięknych aniołach, którzy zstępują z nieba, aby stróżami zostać ziemskich, ludzkich dróg, — i gdy zamykała do snu oczy, nieraz jęć się zdawało, że czuje na licach wonne tchnienie anioła stróża, i że, jak niegdyś w kolébce, tak na jego miękkim skrzydle kołysana usypia. Modliła się rzadko i krótko, ale gorąco, i słowami, które żywymi potoki płynęły z jęć serca. Religia dziewczęcia była miłością i poezją, jak całe jęć czyste a gorące serce.

W pierwszych dniach pobytu w rodzicielskim domu, bawiła się Lola nowością położenia, powagą dorosłej panny, swobodą rozporządzania się czasem. Ale im bardziej oswajała się z nowym życiem, tém więcej odkrywała sprzeczności między tém, co ją otaczało, a marzeniami swojemi. Będąc w zakładzie, mało pamiętała rodziców; gdy ich opuszczała, dziesięcioletni umysł nie zdawał jęć sprawy z niczego. Marzyła więc o ojcu poważnym, rozumnym, nauczającym, o matce słodkiej, kochającej, pojmującej każdą jęć myśl i uczucie. Przykro uderzyły ją gospodarskie krzyki pana Żytowskiego, jego grube obejście się z domownikami i wykrzykniki podziwu nad jęć arystokratyczną powierzchownością, których niedorzeczność całą pojmowała. Zimne obejście się pani Żytowskiej mroziło serce młodej dziewczyny; długie litanie i koronki, odmawiane wspólnie, nudziły ją i więziły. W krótkce poczuła się w otoczeniu zimnym, jakoś nie swoim, i smutek, pierwszy smutek życia, owiał jęć serce.

Pan Żytowski po pewnym czasie przestał podziwiać córkę i oddał się nanowo gospodarstwu. Pani Żytowska, jak zwykle, powoli przesuwiała się przez pokoje, odmawiając różaniec, albo dzwoniąc kluczami; cicho więc i smutnie płynęły dni dla Loli. Gość rzadko zawiął do domu pana Jana, a chociaż dwóch czy trzech konkurentów zjawiło się w cichej ustroni, że byli to ludzie niebogaci i skromnych imion, pan Jan zrażał ich odrazu przyjęciem, gorzej niż zimnym i odprawiał z niczym, — bo powiedział sobie, że córka jego musi być wielką panią, a on teściem arystokraty z rodu.

Nudno było młodej dziewczynie, samotno jakoś i tęskno. Latem wybiegała do lasu, siadała na wzgórzu i zadumana patrzyła na drogę, biegnącą w dal, myśląc, że ona wiedzie w świat szeroki, piękny, nieznany. Zimą, tęsknie schylona nad krosienkami, myślą odbiegała od barwnej roboty daleko, albo, rozgrzewając tchnieniem zamazłe szyby okien, patrzyła na drogę, czy nie dojrzy jakiego gościa, który-by przywiózł echo od ludzi i przerwał nudną, ciężką jednostajność dnia. W Żytowie były książki, bo pan Jan, kwalifikując się na porządnego człowieka, uznał za konieczne sprowadzić kilka romansów francuzkich i polskich powieści, aby leżały na stole. Czytała więc Lola, co znalazła w domu rodziców, a czytanie to bardziej ją jeszcze zaciekawiało do świata i zrażało do otaczającej rzeczywistości. Grała wiele, w tę grę wlewała tęsknotę swoją i marzenia; a nieraz, przy dźwiękach pieśni Szopena albo Schuberta, kilka łez, pierwszych łez życia, spadło z jęć oczu na białe klawisze fortepianu. Tak upłynął rok cały; Lola skończyła lat siedmnaście.

W r. 1857, w połowie czerwca, nazajutrz po przybyciu do Próżnowa pana Michała Starskiego, na drodze, prowadzącej do żytowskiego dworu, szybko toczyły się dwa powozy. W pierwszym jechała wystrojona i drzemiąca pani Swatowska, a obok nięć znużona, co chwila wyglądająca przez okno karety, Zofia. Dalej, w małym i lekkim koczyku, siedział rozparty, z cygarem w ręce, pan Andrzej, a przy nim barczysty i bladooki, zasępiiony myślami o zadłużonej Jałówce, pan Michał. Kiedy z jasnej, zalanęć słońcem i falującej zbożem, równiny, wjechali w chłodny, cienisty i pachnący las, pan Swatowski wyprostował się, rzucił cygaro, zmierzył okiem wysokość sosen, a wychylając się nieco z powozu i rozglądając po lesie, zawołał:

— Co za sosny! masztowe drzewo, panie. Każda kłoda najmniej 5 rs. warta, bo i splaw niedaleko. Śliczny las! a takiego włók ze 20 w Żytowie. Cóż ty na to, Michasiu?

To mówiąc, zwrócił się do towarzysza. Pan Michał, znużony jazdą i myślami o Jałówce, zamknął był przed chwilą oczy i, kołysany lekkim ruchem powozu, zdrzémnął się. Na głos pana Andrzeja przetarł oczy i spytał:

— Co mówisz, panie Andrzeju?

Pan Swatowski ruszył ramionami i rzekł z niecierpliwością:

— A rozbudź-że się, Michasiu! co za nieszczęśliwe przyzwyczajenie do drzémiania! Jak się zaspany pokażesz, panna najpewniej da ci harbuza. Przypatrz się lasom, które, jak się spodziewam, będą twoją własnością.

Michał przeciągnął się, przetarł oczy, ziewnął szeroko i rzekł:

— Dyabelnie gorąco jechać! Nim przyjdzie do małżeństwa, człowiek porządnie się umęczy. Gdybyż przynajmniej co z tego było!...

Po chwili, na ganku żytowskiego domu, pan Jan niskimi ukłonami witał gości.

— Witam, witam szanownego sąsiada dobrodzieja! kopę lat nie widziałem! do nówek ścieleć się pani dobrodziejki! rączki całuję panny Zofii! Królowna, panie, coraz piękniejsza! A gdzież to moja żona i córka?... musiały wyjść do ogrodu, ale wnet wrócą. Nie spodziewały się dzisiaj szczęścia powitania tak szanownych gości. Proszę do salonu, proszę tymczasem do salonu!...

Przy tych wszystkich wykrzyknikach, uniżony gospodarz ścisnął ręce pana Swatowskiego, pomagał paniom zdejmować w przedpokoju okrycia i kapelusze, a rzucając na wszystkich biegające, złośliwe spojrzenia małych czarnych oczu, z ciekawością zwracał je na Michała, któremu, jako nieznanemu, tylko się był ukłonił.

Pan Swatowski z nieco dumną grzecznością przyjmował uniżone ukłony ex-ekonomy, a wskazując mu Michała, rzekł:

— Przedstawiam tobie, panie Janie, pana Michała Starskiego. Przybył wczoraj z Wołynia i chce zaznajomić się z tutejszym sąsiedztwem. Przywiozłem go najprzód tutaj, aby się przyjemnie zabawił.

Na dźwięk imienia Starskiego, słodko przymrużyły się oczki pana Jana; zgiął się w pół niskim ukłonem, w obie dłonie pochwycił dużą rękę pana Michała, a trzęsąc nią i zmrugając oczkami patrząc w twarz gościa, wołał:

— Pan Starski w mojej chatce! co za honor! Wdzięcznym, wdzięczny nieskończenie! Witam pana Starskiego dobrodzieja, polecam się łaskawej znajomości! Niech pan raczy wejść, niech państwo wejdą!...

I otwierał drzwi salonu, i kłaniał się, i zapraszał.

Salon w Żytowie nosił na sobie cechę usposobień właściciela. Wszystko w nim tchnęło pretensją do wykazania bogactwa, a razem skąpstwem i brakiem smaku. Kosztowne obicie różowo-ceglastego koloru pokrywało ściany; u drzwi i okien rozpościerały się ciężkie, adamaszkowe firanki, żółtą barwą kłócące się z obiciem; zielone sztory wlewały trzeci, sprzeczny żywioł w mieszaninę kolorów. Meble starannie pokryte były płóciennymi zasłonami, na posadzce leżały dywany duże, ale w najgorszym gatunku. Fortepian, przywieziony z Łolą z Warszawy, ukazywał tylko palisandrowe nogi, całą postać mając oszytą płótnem; krzesła stały w porządku, równo, pod ścianami, jak żołnierze na musztrach; wchodzący mógł myśleć, że nigdy poruszanymi nie bywały. Na stolikach między oknami leżały książki, stykając się z sobą równo, porządnie i symetrycznie.

W tym sztywnym i kłócącym się barwami salonie, w kilka chwil po przybyciu państwa Swatowskich znaleźli się zebrani gospodarze i goście. Pani Żytowska, w swoim białym czépeczku i ciemnej sukni, powolną rozmową bawiła strojną i dumną panią Leokadyą; gospodarz opowiadał gościom o urodzajach i zapytywał pana Michała o grunta, lasy i spławy wołyńskie; panienki, ująwszy się pod ręce, wybiegły do ogrodu.

Lola samotna, stęskniona do towarzyszek młodych, z radością spotkała Zofię, którą już wprzód widziała kilka razy. Zofia, światowa i dumna, mało znajdowała przyjemności w towarzystwie dziewczyny, wychowanej w klasztorze, nieznaną światu, nieśmiałej. Wdzięczna jednak i sympatyczna powierzchowność Loli pociągała ją nieco; zresztą pochlebiała jej żywa radość, jaką młoda rówieśniczka okazała z jej przybycia, i spojrzenie uwielbienia, którym ją przy powitaniu okryła. Gdy więc ręka w rękę wyszły do ogrodu, żywa między niemi zawiązała się rozmowa.

Nigdy przyjaźń nie zawiązuje się tak szybko, ufność nie obudza tak łatwo, jak w bardzo, bardzo młodym wieku. Zaledwie rozkwitające serce nie zna ciemnych stron ludzi, pragnie ukochania, nie przypuszcza fałszu, oddaje się szczerze i ślepo. Wprawdzie owe przyjaźnie młode, krótkie są najczęściej i nietrwałe. Doświadczenie dojrzalszego wieku zdzięra zasłonę z oczu, ukazując niedostatki tych, których młoda wyobraźnia okryła piękną bez skazy. Zrywają się więc łatwo, łatwo zawiązane zamłodu, stosunki; — ale po nich nazawsze, jak tęcza duszy, zostaje w głębi serca pełne młodego uroku wspomnienie.

Dwie młode panienki chodziły szybko po cienistej alei. Promienie słoneczne, przedzierając się przez splecione gałęzie drzew, ozlacały niekiedy ich czoła. Zofia, w śnieżnej, przezroczystej sukni, z purpurowym kwiatem w jasnych włosach, słuszną, śmiałą i dumna, była wspaniale, przedziwnie piękną. Lola niższa, drobnych i delikatnych kształtów, z dużym, ciemnym okiem, w lekkiej, błękitnej sukience i z białą różą w czarnych warkoczach, mniej piękna, bardziej była słodka, urocza. Patrząc na pierwszą, trzeba było klęknąć w podziwie, albo szaląc żądzą i namiętnością; drugą można było ukochać słodko a głęboko i w rozkosznym rozmarzeniu przytulić do piersi.

— Czy wiesz, Lolciu, — mówiła Zofia, — że za tydzień wyjedziemy z mamą do Warszawy?

— Doprawdy? — zawołała Lola — Jakaś ty szczęśliwa, Zosiu, że tam będziesz! Mnie tak tęskno do Warszawy! tyle tam moich towarzyszek. A tu... tu...; dodała ciszej, — tak smutno!..

— Prawda, że ci smutno być musi w Żytowie. Ale pewnie wkrótce wyjdiesz za męża, to się i nudy skończą. *A propos*, zgadnij, poco jadę do Warszawy?

— Aby się dobrze zabawić?

— Niezupełnie dlatego.

— Więc dla podróży tylko?

— *Non pas, ma toute belle.*

— Może chcesz zobaczyć teatr?

— *Non pas.*

— A więc uczyć się jeszcze?

— *Fi donc!*

— To już doprawdy nie wiem, poco jedziesz.

— Zgadnijże, zgadnij!

— Nie zgadnę.

Zofia mocniej oparła się na rękę towarzyszki, spojrzała jej figlarnie w oczy i rzekła:

— Po wyprawę!

— Po wyprawę! — zawołała Lola, — więc idziesz za męża?

— Za kilka miesięcy, *ma mignonne*. Wczoraj oświadczył mi się pan Warzecki i przyrzekłam mu.

Lola uścisnęła Zofię i mnóstwo zadała jej pytań.

— Jak wygląda twój narzeczony? czy dobry, czy rozumny, czy piękny? Czy bardzo go kochasz?

— Mądry, jak Salomon, — odpowiadała narzeczona, — piękny, jak Apollo, mówią, że bardzo dobry, — a czy go kocham? *entre nous soit dit, il m'embete quelquefois*. Strasznie poważny! Ale, jak mama zwykle mówi: *l'amour vient après le mariage*.

I długo, długo opowiadała Zofia młodej towarzyszce o wszystkich błyszczących marzeniach swoich. Lola słuchała; obrazy ludzi i świata, tego świata, którego była tak spragniona i ciekawa, jak w magicznej latarni przesuwaly się przed jej oczyma w słowach Zofii.

I długo, długo jeszcze młoda narzeczona mówiła o pięknej wyprawie, jaką będzie miała, o ślubnej sukni, wieńcach, brylantach, koronkach, a Lola szła obok niej ze schylnym czołem, zadumana; — Któż mnie ukocha, kto mi da to wszystko, kto mnie wprowadzi w ciepły, jasny świat? O, gdyby prędkiej!...

Gdy wreszcie zawołano na herbatę i młode towarzyszki weszły do salonu, pan Michał pierwszy raz uważnie spojrzał na Lolę. Lubił on słuszną, silną, o żywych rumieńcach i wydatnych kształtach kobiety; drobna więc, blada i jakby smutna dziewczyna, wydała się mu prawie brzydka. Ale gdy przypomniał sobie wołającą o ratunek Jałówkę, ośmdziesiąt chat stanęło mu w oczach na miejscu, gdzie siedziała Lola i, udając zajęcie, blademi oczyma zaczął się w nią wpatrywać.

Gdy zmrok zapadł, powozy państwa Swatowskich toczyły się drogą, wiodącą do Próznowa, a pan Andrzej, wypuszczając z ust dym cygara, pytał Starskiego:

— Cóż, panna nieszeptna, nieprawdaż?

— Błada jakaś i nikła, at, stworzenie Bozkie! Ja! panie, lubię dziewczynę jak piwonię, kiedy krew tryska z twarzy, uroda w sosnę, a wesołą. Ta panna Żytowska zamysłona jak rabin, a blada jak suchotnica.

— To cóż? Może nie chcesz się z nią żenić? z niezadowoleniem zapytał pan Swatowski.
— A cóż to ma jedno do drugiego? — przerażony pytaniem zawołał pan Michał.
— Gdybyś, szanowny panie Andrzeju, znalazł na drodze woreczek brzydkiej, ale pełen pieniędzy, wziąłbyś go sobie i schował do kieszeni, nieprawdaż?

Wpół złośliwie, wpół z zadowoleniem, uśmiechnął się pan Andrzej i odpowiedział:

— Niezawodnie, gdybym szczególnie, jak ty, miał zadłużoną Jałówkę.

Księżyc srebrnymi promieniami zalewał drogę; po łąkach, daleko, biała mgła rozlała się, jakby wielkie jezioro; wśród cichój i pięknej natury, potworną sprzecznością brzmiała rozmowa dwóch *porządnych ludzi*.

W salonie żytowskim, po wyjeździe gości, pan Jan mówił do żony:

— Duszko, tęgi ten Starski! Jaki to być musi gospodarz! Całą godzinę opowiadał mi o wołyńskich pługach. Starscy, to wielka familia, panie! A jaki popularny! tak się ze mną na ganku całował, aż mi gęba zabolala. A zaraz znać, że pan z panów, bo u nich wszystkich myśliwstwo, to rzecz konieczna, — a on tylko o polowaniu mówi.

Zamilkł po monologu pan Żytowski, włożył ręce w kieszenie i, z widocznym zadowoleniem na twarzy, przechadzał się po salonie. Po chwili stanął przed żoną i rzekł:

— Duszko! a gdyby ten Starski pomyślał o naszej Lolce?

Na to pytanie Lola, która dotąd stała oparta o okno, patrząc w zamyśleniu na piękną noc letnią, drgnęła i zwróciła się ku ojcu.

— Duszko, a gdyby on pomyślał o naszej Lolce? — powtórzył pan Jan, patrząc na milczącą żonę.

Pani Żytowska poprawiła na głowie czépeczek i rzekła powoli:

— Zdaje się, że to jest bardzo porządny człowiek, Zresztą, będzie tak, jak Pan Bóg zechce, mój Jasiu.

Dalszego ciągu rodzicielskiej narady nie słyszała Lola. Wychyliła się przez okno, patrzyła w głęboki szafir nieba i myślała.....

Myślała... któż opisze myśli rozmarzonego dziecka które sobie własnych pragnień wyraźnie określić nie umie, a którego dusza cała rwie się ku miłości, swobodzie i światu? Kto określi myśli młodzieuchnej, tęskniącej a niedoświadczonej dziewczyny, gdy jęj po raz pierwszy powiedzą: oto człowiek, który cię ukocha i wywiedzie z samotności, tęsknoty i chłodu, na światło, na radość, na promienie!...

W parę dni potem pan Michał sam jeden zjawił się w Żytowie i, w imieniu swoich krewnych, zaprosił państwa Żytowskich do Próźnowa. Tym razem zbliżał się do Loli, zapytywał ją, jak czas przepędza? czy bywa w sąsiedztwach? zauważył, że dnie czerwcowe są bardzo długie, nareszcie prosił ją, żeby zagrała. Dziewczyna, z lekkim rumieńcem na bladej zawsze twarzy, usiadła do fortepianu. Śliczny walc Schulhoffa rozległ się po salonie i kilka chwil czyste nuty szalały walcowym wirem. Potem łagodnym spadem żywa muzyka spłynęła w coraz poważniejsze tony, i fortepian zaśpiewał pełną gorącego uczucia arya z Łucyi; — nareszcie śpiew miłosny zmieniał się powoli w coraz pełniejsze akordy i z pod palców grającej zabrzmiała pieśń rycerska, marsz tchnący energią i męztwem.

Państwo Janowstwo w czasie muzyki córki wysunęli się do przyległego pokoju; Michał siadł na fotelu, wsparł głowę na dłoni, układając się w zadumaną postawę.

Z razu nuta walca bawiła go nieco; potem początek miłosnej arii wprowadził go w stan blizki drzémiania; na trzecim takcie ziewnął, na piątym zamknął oczy i w samym środku przekleństw Edgara, miła drzémka ogarnęła go całkiem. Dłoń, jakby w zamierzeniu zsunięta na oczy, pokrywała jego stan istotny. Głośny, rycerski marsz nie rozbudził go jeszcze; dopiero kiedy zabrzmiały huczne akordy finału, drzemiący ocknął się nagle, a przestraszony myślą, że ktokolwiek mógł spostrzedz jego stan senny, roztworzył: szeroko oczy, gwałtownie zerwał się z krzesła i, jednym susem przesadziwszy cały salon, stanął przy fortepianie. Lola przelekkła się gwałtownego skoku, ale, widząc wprzód marzącą postawę Michała, sądziła, że muzyka pogrążyła go w poetyczną zadumę, a niespodziewany sus z fotelu do fortepianu naiwna dziewczyna przypisała w myśli gwałtowności wrażenia, jakie jęj gra wywarła na młodym człowieku.

Gdyby ta katastrofa, wydarzona w żytowskim salonie, mogła być znajomą w świecie, posłużyłaby za naukę konkurentom nie-melomanom, aby muzyki swoich wybranych nie słuchali w miękkich fotelach i z dłonią na oczach, bo mogą uledez pokusie snu; — a mło-

dym i naiwnym dziewczynom, aby zbyt nie ufały marzącym postawom pretendentów, bo pod nimi kryje się często bezmyślny i bezwładny sen.

Z Próżnowa Lola wracała do domu, zamyślona i marząca.

Zofia, chodząc z nią po salonie, rzekła półzartem:

— Moja miła, zdobywasz serca! Mój kuzynek Michał tak się w tobie zakochał, że nie chce wracać do domu. *Tu n'as qu'à vouloir, et tu seras Mme Starski.*

A pan Michał, usiadłszy przy niej, powiedział półgłosem, że, wróciwszy ostatni raz z Żytowa, śnił niebo i piekło, i że w jej mocy było dać mu jedno, albo pogрузić go w drugiem. Ten katechizmowy komplement zasłyszał był gdzieś w wołyńskim sąsiedztwie i w naglącej okoliczności zużytkował dla siebie.

Dziewczę więc, jadąc do domu, marzyło: Może on mnie bardzo kocha, może on mnie tak kocha, jak pan Warzecki Zofią! Ciekawam, kiedy się oświadczy!... I myślała: co tu robić? wyjść za niego, czy nie wyjść? Wprawdzie on mi się nie bardzo podoba, najpewniej nie kocham go... o nie, co za myśl!... nie kocham go najpewniej... ale... nie mam też do niego wstrętu... W Żytowie tak nudno, tak smutno, a on mnie powiezie w świat daleki, na Wołyń; tam podobno są góry piękne i ludzi wesołych wiele... Tak mi teraz zimno na świecie, tak tęskno ciągle... On mnie musi bardzo kochać... on mnie upieści, do serca przytuli!...

Patrzała w niebo pełne gwiazd, ściagała okiem cienie drzew, — i znowu myślała: Ależ ja go nie kocham! co tu robić? co tu robić?...

Czemuż wówczas jaki mądry i dobroczynny głos nie szepnął do ucha Loli zbawczej rady? Czemu jaka kochająca ręka nie zdjęła z jej ocz zasłony niedoświadczenia i błędu? Czemu ten anioł-stróż, o którym, usypiając, marzyć lubiła, nie stał wtedy z jej myśli obrazu pana Michała?... Niestety! Ojciec Loli, wsparty na poduszkach powozu, chrapał, śpiąc snem głębokim; matka odmawiała różaniec, — a aniołstróż?... Aniołowie przemawiają do ludzi tylko w poetycznych bajkach dzieciennych!...

Zaledwie dwa tygodnie upłynęły od przybycia pana Michała do Próżnowa, gdy w okolicy głośno mówiono o konkurach pana Starskiego do panny Żytowskiej. Niektórzy przebąkiwali, że to zrujnowany człowiek, niemający nic, oprócz pańskiego imienia i odłużonej wioszczyzny; rozsądniejsi zwracali uwagę na to, że podobno bardzo zaniedbane otrzymał wychowanie i zanadto lubi jarmarczki i handelki; byli i tacy, którzy szczerze żalowali ładnej i sympatycznej dziewczyny, dla rubasznego i ciężkiego karyerowicza.

Wszystkie te nagany i pożałowania były jednak ciche i nie dochodziły do mało nawiedzanego Żytowa; a gdyby doń i doszły, niewieleby pomogły, bo panu Janowi bardzo się podobał popularny i całujący, że aż gęba bolała, Starski, a pani Żytowska w przybyciu i zamiarach młodego człowieka widziała wyraźną wolę Pana Boga. Byli też sąsiedzi, którzy połączenie się ze Starskimi uważali za bardzo zaszczytne dla Żytowskich, i winiszowali ex-ekonomowi świetnej perspektywy małżeństwa córki. Po każdym z podobnych powinszowań pan Żytowski prostował się, brał się w boki i wołał do żony:

— Duszko! czy śniło się kiedy tobie, że będziesz miała zięcia Starskiego? Dalibóg, szczęśliwa dziewczyna! Ależ-bo, panie, stworzona na wielką panią; blade to i delikatne, jak hrabiątko! Cóż ty na to duszko?

Duszka, przechodząc powoli przez pokój z kluczami w ręku, poprawiała na głowie biały czepek i odpowiadała mężowi:

— Snadź taka była wola Pana Boga, mój Jasiu! Niech będą Jemu dzięki za wszystko!

Pan Michał często przyjeżdżał do Żytowa, a nauczony doświadczeniem, nigdy już nie rozpiął się w fotelu w czasie muzyki Loli, o którą prosić miał sobie zawsze za obowiązek. Zato stawał naprzeciw grającej przy oknie i, blade-błękitnymi oczyma ścigając po niebie obłoki, myślał jakby najprędzej skończyć na kobiercu nudne konkury, — albo machinalnie liczył włoskie topole ogrodu, ponad innemi drzewami rysujące się na tle nieba.

Lola, grając, ukradkiem rzucała nań spojrzenia i myślała: Jak on lubi moją muzykę! zawsze mnie o nią prosi. A jak się zamyśla, kiedy gram! tak się zawsze we mnie wpatruje! O, on mnie bardzo kocha!

W szybkim pasażu drobną rączką przebiegała klawisze i, kształtnymi paluszkami wydobywając miękkie akordy ukraińskiej pieśni, znowu spoglądała na Michała. — Jakie on

ma nieładne włosy, — myślała, — jakieś rude! Nie podoba mi się, że on tak groźnie mówi i takich nieładnych używa wyrażen. To brzydkie przyzwyczajenie!

Tu wypadła jakaś trudność muzyczna; grająca zwracała uwagę na nuty i przestawała myśleć o niezupełnie miłych stronach swojego pretendenta. A po jego wyjeździe, z główką pełną zmieszanych myśli, biegła do lasu na wzgórek i tęskno patrzyła na drogę. Serce jej nie rwało się wcale ku temu, co nią pojechał przed chwilą; ale od ciszy i samotności domowej biegło w świat inny, wesoły, wymarzony. Długo siedziała na wzgórzu, z głową o dłoń opartą, ze wzrokiem utwionym w dalekie zakrety drogi, a wstając i zwracając się ku domowi, myślała:

— Pójdę za niego! dosyć już nudnego i zimnego życia! Wprawdzie nie kocham go, ale on mnie kocha, więc go uszczęśliwię, a przecież Zosia mówi: *l'amour vient après le mariage!*

Pewnego pięknego lipcowego dnia, przed ganek w Żytowie zajechał znów koczyc panna Swatowskiego. Pan Andrzej, chociaż spocony i zmęczony lipcowym upałem, więcej był ożywionym i grzeczniejszym niż zwykle; ścisnął pana Żytowskiego, panią Janową pocałował w rękę, a kłaniając się Loli, patrzył na nią z dobroduszną czułością. Pan Michał uroczysto jakoś wyglądał, wyświeżony, wyperfumowany, z szerokim krawatem w kraty ponsowe i zielone, zawiązanym na ogromną kokardę.

Odrązu usiadł przy Loli, trzymającej wzrok na rozpoczętym hafcie; wydobyl z piersi głębokie, trzypiętrowe westchnienie, a schyliwszy okrągłą i rumianą twarz ku blademu licu dziewczęcia, zaczął mówić zniżonym głosem:

— Są chwile w życiu człowieka.....

Tu zabrakło konceptu. Spojrzył na sufit, spojrzył na piec i myślał: co u licha!..

Lola zwróciła oczy na zakłopotanego pretendenta, a przewidując oświadczyzny, których się spodziewała, przypisała jego zmieszanie się silnemu wzruszeniu, i z taktem nadała inny kierunek rozmowie, zapytując o Próżnów, o Zosię. Tymczasem pseudo-zakochany młodzieniec, lepiej obmyśliwszy formułę wypowiedzenia swoich *quasi*-uczuc, wypalił ją jednym tchem, poczem znowu głęboko, trzema coraz cichszymi spadkami, westchnął.

Po kilku chwilach Lola zarumieniona wybiegła z salonu, a pan Michał wstał z krzesła, tryumfująco poprawiał ogromną kokardę swego krawatu.

Tymczasem pan Swatowski, wzięwszy pod rękę gospodarza, przechadzał się z nim po przyległym pokoju.

— Porządny chłopiec, — mówił, prowadząc dalej rozpoczętą rozmowę, — złote serce i z pięknej rodziny.

Pan Jan czule przymrużył złośliwe oczki i rzekł:

— A już to, łaskawy sąsiedzie dobrodzieju, znajoma wszystkim rodzina Starskich; panowie z panów; toż to podobno z hrabianki S. rodzi się nasz kochany pan Michał.

— A tak, — odpowiedział, siadając i rozpięając się w fotelu, pan Andrzej. — To też kuzyn jego po matce, hr. S., swata mu swoją córkę. Jak róża dziewczyna i 100,000 rs. posagu daje mu z nią zaraz. Może-by co z tego i było, gdyby nie przyjechał tutaj i nie zakochał się w twojej córce, panie Janie.

Tu dobrodusznie rozśmiał się pan Andrzej i dodał, kiwając głową:

— Tak to młodzi, zwyczajnie, łatwi do zakochania.

Panu Janowi błyszczały zmrużone oczki; złożył ręce, uśmiechnął się czule, zgiął do ukłonu i zawołał z udanym zdziwieniem:

— Być-że to może! pocziwy, panie, chłopiec! Wpadła mu w oko moja Lolka, a ja ani spostrzegłem tego! Zwyczajnie, panie, stary, zapomniałem już jak za młodu bywa. Ależ bo złota, panie, dziewczyna! Jak gra! znać, że po dukacie brała lekcje muzyki w Warszawie.

— To też mój kuzynek, — odparł pan Andrzej — bardzo się zapałzył na śliczną rzeczywiście twoją córeczkę, panie Janie, i zobowiązał mnie, abym w jego imieniu prosił cię dzisiaj o jej rękę. Chociaż nie lubię się wdawać w podobne sprawy, ale, jeżeli potrzeba mojego słowa do uszczęśliwienia porządnego chłopca, wstawiam się za nim do ciebie, panie Janie, i rękę słowem honoru, że w przyszłym mężu twojej córki znajdziesz porządnego człowieka, w całym znaczeniu tego wyrazu. Nie gra w karty, nie pije, pobożny, skromny i pocziwy, a złote serce!

To mówiąc, pan Andrzej powstał, wziął rękę pana Jana, uściskał ją silnie i, jakby w rozczuleniu, opuścił się na krzesło. Pan Jan zgął się uniżonym ukłonem, jeszcze czulej przymrużył oczki i mówił:

— Z całej duszy, łaskawy sąsiedzie, z całego serca rad jestem, że Lolka podobała się tak porządnemu człowiekowi, jak pan Michał. Trzeba się tylko zapytać o zdanie mojej żony i jej samą. Co do mnie, zgadzam się i błogosławię, a kochanego swata ściskam i całuję.

I pochwycił w objęcia pana Swatowskiego, i całował go z całej siły.

Pan Andrzej, z trudem wysunawszy się z uścisku ex-ekonoma, rzekł:

— Kiedy tak, to jestem pewny, że sprawa Michasia wygrana. Młode serce łatwo się oddaje, a za wolą córki pójdzie i zgodzenie się matki. Twoje veto, panie Janie, było najważniejsze, a gdy kładziesz afirmatywę, pomówmy o innych rzeczach.

Pan Jan przysunął krzesło, usiadł, szerzej otworzył oczy i rzekł:

— Pomówmy, pomówmy, łaskawy sąsiedzie dobrodzieju. O cóż idzie?

— Bo to widzisz, panie Janie, — mówił pan Swatowski, bębniąc palcami po stole, — młodzi, zwyczajnie jak zakochani, mało myślą o powszednim chlebie; nam więc starszym za nich myśleć o tém potrzeba. Michałowi zdarzały się świetne partye, mógł wziąć półmiliona i milion złp. posagu. Ale poczciwy chłopiec bez miłości nie chciał się żenić. Teraz, gdy już kobierzec niedaleki, ja za niego myślę o pieniądzach, i ot tak otwarcie zapytuję ciebie, panie Janie: jaki posag dasz córce?

Pan Jan uśmiechnął się złośliwie, szybko jednak powściągnął uśmiech i zawołał:

— Masz słuszość! pieniądze przedewszystkiem, nic bez nich! Otóż-to kiedy rozumny człowiek! A nie powstydzę się posagu. Bławacin dam Lolce, 80 chat, panie, 50 włók lasu, złote jabłko!

— To dobrze, — odpowiedział pan Andrzej; — ale na nową gospodarkę cośby gotówki potrzeba. Dasz, panie Janie, w dodatku ze sto tysięcy złp.?

— Sąsiedzie dobrodzieju, żalonym głosem zawołał ex-ekonom, dalibóg nie mam! jak cię z serca kocham i szanuję, tak nie mam! Nic, oprócz Żytowa, nie zostawiam sobie, a przecież i nam starym trzeba kawałka chleba do śmierci. Ależ przecież i kochany pan Michał musi mieć swoje dobra, albo kapitały; alboż to świat nie wie o bogactwie familii Starskich?...

I śmiał się dobrodusznie ojciec Loli, kiwając głową i patrząc zmrużonemi oczkami w twarz pana Andrzeja.

— Ma ona majątek, — odpowiedział pan Andrzej, mocniej bębniąc palcami, — piękny i duży majątek, żywny i leśny. Ale trochę to... trochę zadłużone, no, niewiele... ale jest troszkę grzeszków. Nie jego grzechów, broń Boże! to chłopiec skromny, jak panienska, a wyrachowany, jak stary; ale tak... ojcowskich... Wieczny jemu pokój, nieboszczyk Starski lubił pohulać.

Pan Jan posmutniał i zamyślił się. Widocznie ojcowskie grzeszki nie bardzo mu się podobały. Ale imię Starskiego brzmiało w uszach ex-ekonoma nieopisanym urokiem; osnuł już był sobie całą nić marzeń, jak będzie nazwiskiem zięcia imponował sąsiadom, którzy, zdawało mu się, pamiętali początek jego zawodu.

Wstając więc z krzesła, rzekł:

— Zobaczmy, panie Andrzeju, zobaczmy; może się i znajdzie jeszcze grosz jaki. Wszakże to jedynaczka; wszystko, co nasze, będzie jej własnością.

— Ale musisz dla młodej pary dom urządzić w Bławacinie, — dodał jeszcze pan Andrzej, poufale uderzając gospodarza po ramieniu. — W majątku Michała dom, choć piękny, ale tak... nadrujnowany. Ojciec jego, zwyczajnie jak wielki pan, w jednych dobrach mieszkał, a inne folwarki opuszczał. Trzeba przecież urządzić ładne gniazdo dla takich ślicznych ptaszek. Nie prawdaż?!

I rozrzucony czuł metaforą, pan Swatowski wydobyl chustkę z kieszeni i otarł zwilżone łzami oczy.

W niespełna miesiąc po dniu, w którym Wacław Warecki, szczęśliwy i rozkochany, opuścił Próznów po przyrzeczeniu Zofii, — z żytowskiego dworu wyjeżdżał około północy pan Michał, z rozwiązaną od radości kokardą kraciastego krawatu, przyjęty także i szczęśliwy.

O, jakże różne od siebie są serca ludzi, jak różne źródła ich radości!

Za bramą narzeczony Loli rzucił się w otwarte objęcia pana Swatowskiego.

— Niechże ci powinszuję, Michasiu, — wołał pan Andrzej, — oto partyą robisz nielada! Wielu ci pozazdrości.

— Wdzięcznym ci, wdzięcznym do śmierci, — mówił Michał, dusząc się w uścisku swego swata. — Otóż o takich krewnych daj Boże mieć każdemu pocziwemu człowiekowi!

I znowu duże chustki, wyciągnięte z kieszeni, ocierały dwie pary oczu.

W salonie żytowskim pan Jan mówił do żony:

— Duszko! coś, widzi mi się, przyszły nasz zięć goły, jak święty turecki. Źle panie. Nie chciałem córki wydać za hołysza. Jednak, zawsze to Starski. I cóż robić, stało się!

— Mój Jasiu, — odpowiedziała cicho i powoli pani Żytowska — przecież Lola ma, chwała Panu Bogu, własny fundusz. Pan Starski porządny człowiek, i kiedy się już tak złożyło, snadź taką była wola Pana Boga. Dla kobiety, która powinna zająć się domem, gospodarką i chwałą Bożką, niewiele potrzeba.

W czasie tej rozmowy państwa Żytowskich, Lola w cichym pokoiku, oświetlonym bładą lampką, klęczała przed swoim dziewiczym łóżeczkiem, twarz ukryła w obie dłonie i z oczu płynęły jej łzy gorące. Smutno było biednemu dziecku w tym dniu stanowczym życia, bez serdecznej rady i pieczyoty; — czuła się dziwnie samotną i słabą, bardzo słabą, zostawiona swojej woli, tak niepewnej jeszcze, chwiejnej i dziecinniej.

Zresztą, któż wypowiedzieć zdoła smutne przecucia, te wieszczby złowrogie, które żelazną obręczą bólu ścisną pierś wtedy, gdy nieszczęście ukryte jeszcze pod tajemniczą zasłoną przyszłości!

Biedna Lola łzami smętnego przecucia płakała w przeddzień godów weselnych!...

Śluby dwóch młodych par w Próżnowie i Żytowie odbyły się w przeciągu jednego tygodnia. Na konieczne żądanie pana młodego, państwo Warzeccy brali ślub cichy, w obecności rodziców panny młodej i kilku świadków.

Inaczej było w Żytowie. Pan Jan, pragnąc całemu sąsiedztwu przedstawić zięcia Starskiego, zaprosił na wesele córki wszystkich znajomych. Lola tak była spragniona świata i ludzi, tak mało zajmował ją przyszły małżonek, że szczerze cieszyła się nadzieją weselnej zabawy. W kilka więc dni po ślubie państwa Warzeckich, w parafialnym kościele Żytowa, oświetlonym *a giorno*, organista z całej siły cisnął organy, śpiewając *Veni Creator*; pan Swatowski, uroczystie wygolony i wyfrakowany, w białych rękawiczkach i bielszym jeszcze krawacie, z wielką pompą, wśród tłumu znajomych i ciekawych, prowadził od ołtarza młodziuchną panią Starską, a potem w stubarwnym salonie Żytowa noc całą tańczono.

Wyrzeczone przysięgi ślubne, skończone weselne obchody, a więc i dramat skończony, — nie prawdaż?

Tak, — przysięgą ślubną i tańcem weselnym kończy się zwykle dramat w powieści, ale nie w życiu. W tym dziwacznym, figlarnym a psotnym życiu dramat najczęściej zaczyna się właśnie wtedy, gdy najmniej spodziewany, a boleści i łzy jego nie dają się odegnąć i stłumić, ani stulą kapłańską, ani skoczniemi akordy weselnej orkiestry.

Śluby Zofii i Waclawa, Loli i Michała nie zakończyły dramatu ich życia; owszem, rozpoczęły go, i dlatego opis dróg, jakimi szli oni wzajem ku sobie, jest tylko „początkiem powieści”. Dalszy ciąg i koniec powieści tej rada-bym z serca opowiedzieć wam, czytelnicy; ale wiecie zapewne sami, że na tym biednym świecie, dla różnych i przeróżnych powodów, wiele niekiedy przemilczć trzeba. Złośliwe demony, rojami unosząc się około człowieka, zamykają mu usta i wołają: tego nie mów! tego nie mów! wstrzymują mu rękę, krzycząc hałaśliwie: o tym nie pisz! o tym nie pisz! I, chcąc nie chcąc, człowiek usta zamyka, pióro odrzuca, i myśl jego niedopowiedziana w świat ulatuje.

Tymczasem, czytelnicy, jeżeli chcecie uzupełnić w myśli swojej to, czegom nie dopowiedziała wam tutaj, okiem badawczym wpatrzcie się w głębie otaczających was istnień. Tam, gdzie huczą burze niezapokojonych pragnień, gdzie pod wpływem gorczy krzywią się dobre istynkta, a w prochu zagasłego rodzinnego ogniska, jak zjadliwe żmije, roją się i wiją bóle i grzechy — tam szukajcie dalszego ciągu powieści mojej. A gdzie znajdzie-

cie jasną myśl ludzką, przyświecającą w najgłębszych nawet przepaściach, gdzie ujrzyjcie pracę wytrwałą — tam będzie powieści tój koniec.

Spójrzcie więc uważnie wokoło siebie i w istnieniach otaczających ludzi dojrzyjcie dalszego ciągu historii bohaterów moich; a nim historią tę kiedyś, kiedyś dopowiedzieć wam sama będę mogła, żegnam was tymczasem, czytelnicy, słowem: do zobaczenia.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/poczatek-powieści>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Z różnych sfer. Nowelle i obrazki*, tom I, własność, nakł. i druk S. Lewental, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0643-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).